

Makumba czyli Drzewo gadające

Michał

CHOROMAŃSKI



Michał Choromański

MAKUMBA
CZYLI
DRZEWO GADAJĄCE

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-05-0

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1968

Projekt okładki: Marcin Labus

Zacznę od drzew. Czy słyszał kto o mówiących drzewach? Ręczę, że nie. A tam są! I są – nie tylko takie wynaturzenia. Opowiadali mi ludzie, godni całkowitego zaufania, że pod Kurytybą rosło drzewo, które mówiło nawet po polsku, mazurząc. Za czasów prezydenta Vargasa, który miał dziwną ansę do Polaków i, zdaniem moim, był po trochu dyktatorem, wkroczyła w to policja. Było to przed wojną, kiedy legionści z Pierwszej Brygady obsadzili w Paranie kluczowe stanowiska kierowników szkół polskich, polskich spółdzielni, a nawet nie zawahali się opanować pewnego warsztatu kilimarskiego, do którego niebawem powrócę. Pobrząkiwali szabelką i chodził słuchy o tym, że nasze kontrtorpedowce i niektóre statki Żeglugowych Linii Gdynia-Ameryka zamierzają dokonać na wybrzeżu desantu.

Obecnie brzmi to nieprzekonywująco. Czuję się głupio i mogę wyglądać niepoważnie, ale proszę zajrzeć do podręczników historii międzywojennej: czy chcieliśmy kolonii, czy nie?! Mimo arystokratycznego pochodzenia, nie jestem błahym sobie człowiekiem i nie rzucam słów na wiatr. O niektórych rzeczach jednak w towarzystwie przestałem już opowiadać. Zrezygnowałem. Niezależnie od tego, jakim tonem mówię, wszyscy patrzą na mnie z tym samym obrażającym wyrazem twarzy: że niby – hrabia błaznuje! Ale proszę się we mnie wczuć. Co mam robić? Są przekłete prawdy, wywołujące nieufność, bo w naturze swojej mają coś lekkomyślnego. Doświadczyłem tego na sobie.

Więc na skutek projektowanego desantu zaczęły się w Paranie polakożercze nastroje. Vargas nie miał poczucia humoru za grosz i pomysł przyłączenia Kurytyby do macierzy nie wywołał na jego wargach nawet uśmiechu. Z miejsca zamknięto polski teatr. W warsztacie kilimarskim kazano zamiast łowickich pasów i krakowskich kogucików trzymać się motywów portugalskich. Na ulicach nie wolno było rozmawiać po polsku. Wyszło nawet rozporządzenie, żeby na cmentarzu miejskim napisy na nagrobkach przetłumaczono na portugalski język. Śmieszne? Proszę pojechać i zapytać starych wychodźców. Znajdą tam państwo prochy nie tyle pana Władysława Kowalca, co senhora Ladislau Covalez.

Drzewo, o którym pisałem na początku, ścięto w tym samym okresie prześladowań. Swą polszczyznę zanadto zawadzało władzom. Po prostu pewnego rana znaleziono po nim tylko pniak. Policja wywiozła je w nieznanym kierunku. Tak mi przynajmniej opowiadano, bo wtedy tam jeszcze nie byłem. Ale w mówiące drzewa nie wątpię. Znalazłem się kiedyś pod wieczór na skraju puszczy, i sam słyszałem, jak ktoś powiedział: Pardon. W puszczy dzieje się straszliwy harmider. Coś jęczy, stęka, wyje – na wszystkie sposoby i głosy. Jednak obok mnie nie było ani ptaków, ani gadów – stało tylko drzewo, jeżeli to paskudztwo można tak nazwać. Więc kto powiedział: Pardon?

Co prawda potrafiłem o pień łokciem, ale w takim razie to ja raczej powinienem był przeprosić? Włosy stanęły mi dęba. To paskudztwo z zewnątrz zupełnie nie wyglądało uprzejmie. Było od stóp do głów porośnięte brodami. Teraz, kiedy brody zwycięsko powracają do mody męskiej, wydałoby się to mniej niepokojące. Ale wtedy wszyscy się jeszcze golili, z wyjątkiem nielicznych literatów. Właśnie oni! Proszę sobie wyobrazić, że u państwa w podwórku na drzewie zamiast liści rośnie coś, co przypomina Bernarda Shawa lub Hemingwaya. Każda gałązka obwieszona brodami! Tylko fryzjer mógłby się nie przestraszyć. I właśnie to brodate paskudztwo powiedziało wyraźnie: Pardon. Zawróciłem i, z maczetą w ręku, rzuciłem się do ucieczki. Nie pamiętam, jak dobiegłem do szakary, czyli po naszymu – małego dworku, który sobie nabyłem za parukaratowy brylant oraz pewne renesansowe kolczyki z ametystami. Do kolczyków tych też niebawem powrócę.

Mulat Petroniusz, zatrudniony u mnie w charakterze kuchcika (bo słowo gosposia było wówczas jeszcze nie znane), stał właśnie na ganku i, zobaczywszy mój roztrzęsiony wygląd, uśmiechnął się łagodnym, biorącym za serce uśmiechem. Nikt nie umie się tak kojąco uśmiechać, jak kolorowi. Zrozumiał od razu, że spotkało mnie coś raczej przykrego, lecz pomyślał, że to policja.

– Policja? – spytał po portugalsku.

Całe życie władałem biegle czterema językami i nauczenie się piątego nie sprawiło mi trudności. Kiedy, zdyszany, opowiedziałem mu o drzewie, nie okazał najmniejszego zdziwienia. Uśmiechnął się, tym razem ze znawstwem. Pois no? Certa! – rzekł współczująco. – A dlaczego by nie? Jasne, że mówiło!

Miał życzliwe, na poły czarne serce. Wygrzebał coś z kieszeni portek i wyciągnął dłoń. Zobaczyłem na niej kawałek drewna w kształcie malutkiej ludzkiej rączki. Kciuk rączki włożony był między wskazujący a średni palec.

– Przecież to figa? – spytałem niedowierzająco.

– Niech senhor nigdy się z nią nie rozstaje! Zawsze nosi przy sobie!

Podziękowałem nieufnie – ale nie chciałem go obrazić. Stawiałem w Paranie dopiero pierwsze kroki. Byłem niedowiarkiem. Schowałem amulet lekceważącym ruchem do spodni i wszedłem do dworku. Dyszałem. Ręce miałem podrapane, w bąblach. Włosów moich i koszuli czepiały się zielska. Chciałem się umyć. Był jeszcze jasny dzień, kiedy wszedłem do łazienki. Atoli noc w tamtych stronach zapada tak gwałtownie, że kiedy zbliżyłem się do zlewu, w łazience zrobiło się już czarno. Po omacku otworzyłem kran.

Trzeba wiedzieć, że takie codzienne zjawisko, jak zimna woda, w Brazylii po prostu nie zachodzi. Nikt o niej nawet nie słyszał. Wszystko, co cieknie, co płynne – jest ciepłe. Byłem więc przygotowany, że z kranu poleje się wstrętna rozgrzana ciecz. Jakież było moje zdumienie i ulga, kiedy w zlewie pod palcami uczułem coś zimnego. Zamarłem z rozkoszy, chłodząc zbolące ręce. Wtem zrozumiałem pewną rzecz, która wydała mi się zaskakująca. To nie woda była zimna – to, co mnie chłodziło, było twarde, okrągłe i leżało na dnie zlewu. Przypominało kielbasę. Pomacałem ją palcami. Oburzyłem się i zawołałem na cały głos: Petroniuszu!

Miałem zawsze z nim kłopoty, i minęło sporo czasu, zanim przyzwyczyłem go do gospodarskiej solidności. Gdy się pojawił w drzwiach oświetlonego sąsiedniego pokoju, wytłumaczyłem mu, że prowianty trzeba trzymać w spiżarni, a nie w łazience. Owszem, kielbasa w tym klimacie łatwo się psuje, ale to nie znaczy, że ma ją chować w porcelanowym zlewie. A propos, w jaki sposób i dlaczego jest zimna? Jak to możliwe?

– Jaka kielbasa? – spytał i zapalił światło.

– A ta! – odpowiedziałem, wciąż macając palcami. Byłem tak pewien swej racji, że z początku nie spojrzałem w dół. Wiedziałem nawet, jaki to był gatunek. Krakowska – bo polska masarnia w Kurytybie słynęła z niej.

To nie była ani krakowska, ani połędwicowa, moi państwo. To była żararaka. Dwumetrowy, powiedziałbym wypasiony okaz. Zwinięta w kłębek patrzyła na mnie niemal po ludzku, z pretensją człowieka, którego nagle wyrwano z drzemki. Ponadto miała w sobie coś, co w ogóle cechuje trujące węże i jest odpychające. Dwuznaczny, niesympatyczny magnes. Odpychała i przyciągała zarazem. Nigdy nie zapomnę tego wahadłowego uczucia, które mnie ogarnęło. Patrzyliśmy sobie w oczy z tym wzajemnym niesmakiem i szokiem, jakiego w towarzystwie doznaje przy poznaniu się dwoje ludzi o różnych poglądach politycznych. Takie rzeczy od razu się czuje. Jestem przekonany, że jej się nie podobałem, a co najdziwniejsza – uczułem z tego powodu zawód. Bo nie wstydzę się dodać – byłem już w niej trochę zakochany. Nie mogę tego ująć inaczej. Czułem, że wzbiera we mnie jeżeli nie określony sentyment, to rodzaj ciągoty miłosnej – un faible, jak do młodej kobiety, o której instynkt podpowiada, że jest naszym typem w sensie doboru seksualnego. Przypuszczałem, że jeżeli nie ugryzła mnie, to tylko dlatego, że wciąż jeszcze była nie bardzo obudzona. Jednak Petroniusz zapewniał potem, że mnie uratował amulet. Ta figa. W tamtych czasach w takie rzeczy jeszcze nie wierzyłem.

Ale wracając do drzew. Jeżeli państwa nie przekonałem, to powiem, że tam nie tylko na ziemi rosną i dzieją się rzeczy zaskakujące, lecz i na niebie. Na ma zwykłych obłoków! Możecie godzinami patrzeć, a nie zobaczają państwo ani cumulusów, ani altostratusów. Niebo

tam po prostu niczego porządnego nie przypomina. Cholera wie, dlaczego tam się tak dzieje. Szedłem kiedyś ulicą z młodym księciem Dobiesławem K. W pewnej chwili podniósł oczy, nie podejrzewając, co go tam, w niebie czeka – i wzdygnął się.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – krzyknął.

Nad naszymi głowami rozpościerało się fiołkowe niebo w regularne białe groszki. Zupełnie jak perkal. Aż nas zatkało.

Młody książę Dobiesław pochodził z gorszej gałęzi K., z tych kołomyjskich. Na domiar mówiono o nim, a właściwie o jego matce, że zapatrzyła się w swego domowego lekarza. Dobiesław rzeczywiście był hipochondrykiem, zawsze łąpał się za puls i nosił przy sobie moc różnych pigułek. Nie wiem, czy się na tym znał, ale miał słabość do lekarstw. Poza tym uchodził za wyjątkowego szczęściarza, i w pokera waliły mu co najmniej same fulle. We Wrześniu opuścił swą willę na Saskiej Kępie, akurat w momencie, gdy do jego sypialni trafił pocisk. Przeniósł się do hotelu, a kiedy Niemcy wchodzili, żeby go aresztować – weszli przez omyłkę do sąsiedniego numeru! Ze wszystkimi się mijał i wszystko go omijało. Nie imają się go nawet kule. Gdy przechodził nielegalnie węgierską granicę, był obstrzeliwany z tyłu, z tym jeno skutkiem, że wytracono mu z ręki tobołek z piżamą i kosztownościami. To właśnie razem z nim, poprzez Węgry, Włochy i Irlandię, przyjechałem do południowej Brazylii. Dlaczego o tym wspominam? Bo kiedy przystanęliśmy na ulicy, patrząc w to wysoce niestosowne niebo – spadł na niego mamon.

Mamon zupełnie niesłusznie uważa się za owoc. Przypomina co prawda dynię, ale czy w przeciętnym europejskim społeczeństwie dynie rosną na czubkach drzew? Tam rosną. Książę Dobiesław mógł się o tym przekonać. Trzeba dodać, że taka dynia po rozcięciu nie ma w sobie nic normalnego. Ma w środku czarne pestki, które – jak wykazuje analiza – są w rzeczywistości tabletkami skondensowanej pepsyny. Czy jedlibyśmy nasze kawony, gdyby zamiast nasion zawierały preparaty farmaceutyczne? Tam wszystko jest możliwe. Wnętrze mamonu jest pomarańczowej barwy, kiedy jednak człowiek pochyla się nad nim z widelcem, straszliwy odór wyzwała mu się wprost w twarz. Nie znam się na małpach, ale w Paranie zapewniano mnie, że tak pachną pawiany. Trudno naprawdę zrozumieć, jak mogą wszyscy bez wyjątku tubylcy zajadać się tą potwornością co rano na czczo. Lecz i tutaj zetknąłem się z dwuznaczną właściwością tropików. Tutaj znowu występowało wahadłowe prawo. Po miesiącu ciągnęło mnie do mamonów, jak gdybym był narkomanem. Czułem się wobec nich bezbronny, i nic nie pomogła mi świadomość, że pepsyna na ogół nie wytwarza szkodliwego nawyku.

Był to oczywisty nonsens – nie po to się uniknęło gestapo, przetrwało bombardowanie itp., żeby oberwać po głowie wielokilowym ciężarem zwyrodniałego frukta.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI